NUMER 6. LWÓW, DNIA 1. MAJA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

Piotr Chmielowski.

W dniu 22. bm. umarł we Lwowie Piotr Chmielowski.

Przed przeszło rokiem przybył Chmielowski do Lwowa, zawezwany aby we Lwowie wykładał na uniwersytecie literaturę polską, tj. zaznajamiał tych, którzy na uniwersytet chodzą z utworami polskich pisarzy. Gdy Chmielowski przybył do Lwowa, był już człowiekiem w całej Polsce znanym i szanowanym.



Chmielowski urodził się w roku 1848. W czasach, które nastąpiły po upadku styczniowego powstania, usilnem staraniem jego, jako też wielu innych ludzi w Polsce było, by naród polski nie pozostał co do oświaty w tyle za innymi narodami Europy, by nauka, przemysł, dobytek i siły narodu stały u nas tak wysoko jak w innych krajach. Polacy nie opuszczali rąk i nie dali się zgnieść rozpaczy, ale pracowali bezustannie nad tem, aby stać jaknajwyżej i mieć jaknajwięcej siły.

Bardzo wiele pisywał Chmielowski pod owe czasy i umieszczał swoje prace w poważnych czasopismach.

W r. 1882 zamianowano go profesorem na uniwersytecie w Warszawie. Była to wielka godność, ale odrzucił ją Chmielowski niebawem, gdy się dowiedział, że musi wykładać dzieje polskiej literatury po rosyjsku.

Przez długie lata był Chmielowski w Warszawie redaktorem znakomitego czasopisma naukowego p. t. „Ateneum". Było to stanowisko zaszczytne, ale po wielu latach porzucił je, bo wydawca pisma począł skłaniać się do tego, by ugodę zawierać z Moskalami i ustępstwa im pewne robić. Wtedy wystąpił Chmielowski z redakcyi Ateneum, bo nie mógł znieść myśli o ugodzie z Moskalami. Po wielu latach pracy dla dobra polskiego narodu został ten szlachetny uczony mianowany profesorem literatury na uniwersytecie do Lwowa.

Do najsławniejszych prac Chmielowskiego należy: „Historya literatury polskiej", „Zarys najnowszej literatury polskiej", „Nasi powieściopisarze", „Współcześni poeci polscy", „Studya i szkice z dziejów literatury polskiej" i w. i.

Historya małpki.

(z rosyjskiego).

Las podzwrotnikowy drzemał w skwarnych promieniach słońca. Wszystko spoczywało — tylko pstre motylki krążyły bez przerwy nad kielichami kwiatów, albo niekiedy między gałęźmi ukazywała się dumna postać papugi.

Nagle rozległy się na pochyłościach gór przeraźliwe krzyki i całe stado małp stoczyło się na dół, porywając za sobą chmury piasku i moc drobnych kamieni. Małpki uciekały, pędzone wiatrem — za niemi gnali murzyni. Wesołe zwierzątka do niedawna jeszcze zbierały robaki, wygrzebując je z pod kamieni. Widok pola kukurudzianego zwabił je jednak: opadły je jak szarańcza. Bezlitośnie łamały łodygi młodych roślin i obrzucały się niedojedzonymi owocami, tak że długotrwała praca ludzka poszła na marne!

Wtem nadbiegli ludzie, małpki poczęły uciekać, chowając się w gęstwinę drzew i krzaków. Zagnawszy je tam — murzyni przestali ścigać nicponiów.

Ledwie przekonały się małpki, że niebezpieczeństwo minęło, uspokoiły się i rozpoczęły nową zabawę. Wśród zielonego namiotu liści spostrzegły gniazdka, z których wyglądały główki ptasząt. Wielka to pokusa dla małp — trzeba zburzyć gniazdka! Zabawa wre, a biedne, niedołężne pisklęta latają koło zburzonych gniazd z kwileniem pełnem trwogi!

Niedługo sprzykrzyła się małpom ta zabawa — rozpoczynają nową grę: łapią się i gonią wzajemnie, obrzucają się oliwkami, stroją przytem pocieszne miny i krzyczą przeraźliwie.

Jakże im dobrze, jak wesoło w rodzinnym borze!

Piękny las stał jak zaczarowany: mimozy pięły się pod błękit nieba, a giętkie ljany tuliły się do wysmukłych palm. Ibis schował głowę pod skrzydła i drzemał wśród paproci. Tak gorąco było... tak spokojnie.. tak błogo!... Małpki huśtały się na drzewach i piszczały radośnie.

Nagle... straszny, okropny głos przerażenia rozległ się po lesie! Słychać było zewsząd nawoływanie małp, rozpaczliwe ich krzyki, a twarze ich, tak wesołe przed chwilą, przybrały wyraz groźny i gniewny. Którakolwiek z małp zbliżyła się z pomocą do wołającej towarzyszki — wpadała sama w sieci, które ludzie rozpostarli na trawie!

Nie pomogły rozpaczliwe wysiłki — im bardziej szamotały się nieszczęśliwe małpy, tem bardziej wikłały się w sieci! Gdy która małpa uciec zdołała — murzyni strzelali do niej...

Takim sposobem — jedna mała małpeczka została sierotą na świecie. Sprzedano ją oficerowi, który wziął zwierzę ze sobą na okręt.

Na pokładzie siedział już wielki, brodaty szympans, który trzymał szpetne dziecię swoje i młoda, zielonawo-brunatna małpa turecka.

Ludzie na okręcie, nadali zaraz małpom imiona: sierotę naszego przezwano „Bobi“, małpę turecką „Lulu“, a szympansa „Mimi“.

Okręt pruł chyżo lazurowe fale — brzeg oddalał się ciągle. Już ledwie widać ojczysty las palmowy. Ledwie rozpoznać już można na horyzoncie ciemne korony drzew — za chwilę znikną i one....

Mimi ze swojem szpetnem małpiątkiem u piersi, spoglądała ze smutkiem na oddalające się brzegi ojczyzny. Ze smętnych jej oczu płynęły łzy.

— Patrz na Mimi, jak ona cierpi! zupełnie jak człowiek! — mówili majtkowie.

Mimi nikła rzeczywiście w oczach — kaszlała, słabła, przyciskała dziecię do piersi i spoglądała żałośnie na majtków — tęskniła do swobody, do wolności! (Ciąg dalszy nastąpi.)

NA WIOSNĘ.

Zajaśniało słonko majowe — popękały pęcze drzew.

Ziemia czarna, pulchna ogrzewa się w słońcu. Ziarno rzucone w nią kiełkuje. Korzenie krzewów, krzaków i drzew bezczynnie zimę w ziemi przespały — teraz ożywiają się, nowe przewodzą soki, nowe życie dla roślin się rozpoczyna!

Podchodzą w górę korzeniami soki ziemi, podchodzą do gałęzi, dopływają do pączków — a pączki rosną i rosną, aż dopóki liście i kwiaty się nie rozwiną.

O bo w pączkach i liście i kwiaty się mieszczą! Najlepiej to widać na pączkach kasztanów. Duże są — łatwo je przez pół przekroić, a przekroiwszy, widzimy w środku drobną, malusią gałązkę przyszłych kwiatów, a po bokach zawoje przyszłych liści. U innych roślin znowu, osobne są pączki liści, a osobne kwiatów.

Gdy dojrzały pączek już pękł, gdy wyszły z niego liście — jakże one zmięte, pokurczone, blade! Ale gdy deszcze często padają, a pogodne słońce świeci, gdy ziemi wilgoci nie brak, ani ciepła, młode listki wnet się prostują. Nie trudno pojąć, jak się to dzieje, ale czemu zrazu blade, zielenieją później?

Czy nie widzieliście nigdy, jak cebula i ziemniaki, złożone w jesieni w piwnicach na zapas, z wiosną puszczają łodygi i kiełkują, choć ani w ziemię ich nie wkopano, ani woda ich nie zrosiła, ani słońce nie ogrzało? Przeciwnie, zimno jest w piwnicy i ciemno!

Taka już jest moc we wszystkich roślinach, że z wiosną kiełkują, nawet w piwnicy, nawet po ciemku. Ale roślinki wychodzą blade, nikłe, wydłużone i wątłe. Zasadźcie tę cebulę, ten ziemniak w doniczkę, postawcie je na oknie: niedługo roślina grubieć zaczyna, siły nabiera, zielenieje.

Czy to słońce kolor jej nadało?

W łodygach roślin i liści znajduje się mnóstwo kuleczek, tak drobniutkich, że tylko pod mikroskopem widzieć je możemy. Kuleczki te, żółtawe po ciemku, zielenieją na świetle. Są to ciałka zieleni. One to liściom kolor nadają.

Ciałka zieleni stanowią nietylko ozdobę liścia, są one również bardzo roślinom pożyteczne. W nich to, pod wpływem światła, tworzy się mączka, skrobia.

W jasny, słoneczny dzień, roślina wytwarza dużo, dużo skrobii. Tak dużo, że zapasu tego sama nawet zużytkować nie może. Chowa więc ją, jak ludzie ziemniaki na zimę, na gorsze czasy. Zanim jesienią zaschnie, zostawia ją tym częściom, z których na wiosnę nowe wyjdą rośliny: łodygom podziemnym, bulwom, owocom lub ziarnu.

Wiosną, gdy przyroda budzi się do życia — budzą się z nią rośliny. Ale jakże młode kiełki wyżyć by mogły, rosnąć i w dużą, silną przemienić się roślinkę — kiedy korzonki nie wyrobiły się jeszcze i nie wzmocniły? Czemże się żywią takie kiełki?

Czemby! — skrobią, którą dawna, zeszłoroczna roślina dla nich złożyła.

A wiecie dla czego uprawiamy ziemniaki, zboże?

Dlaczegożby! — dla skrobii, dla mączki, która służy nam na pokarm. Z tych zapasów i my korzystamy, gdy wyrabiamy krochmal z roślin, gdy mielimy na mąkę ziarna, gdy zajadamy ziemniaki.

Gdy jęczmień kiełkuje, dzieje się dziwna rzecz. Ziarno staje się nagle słodkiem, tworzy się słód. Skądże się cukier w ziarku wziął?

To skrobia jęczmienna tak się przemieniła, bo młody kiełek jęczmienia łatwiej żywi się słodem, niż skrobią.

Wiele jest takich roślin, których liście skrobię wyrabiają, ale gdy skrobia ta układa się na zapas, przemienia się w cukier. Tak n. p. dzieje się u buraków cukrowych. Cukier ten służy młodym kiełkom na wiosnę za pokarm.

EBL.

Wiosna.



Rozśpiewał się świat cały,
Rozśpiewał radośnie,
Zbudził się pierwiosnek biały
I marzy o wiośnie.

Tyle słońca — światła tyle
Na tym pięknym świecie,
Taką jasną, złotą chwilę
Daje wiosny kwiecie.

Każdy dzisiaj się raduje
Od szczęścia promienny,
Bo głęboko w duszy czuje
Poranek wiosenny.

A więc i wy lube dzieci
Szczebiotajcie mile,
Póki słonko jasno świeci,
Póki wiosna w sile.

Bo po wiośnie i po lecie
Smutnemi oczyma
Obejrzycie się po świecie
I znów będzie zima.

H. W.

MAJ.

Błękit, ziemia, drzewa, wszystko zrzuca pleśń,
Świeżą piękność wdziewa, nuci rzewną pieśń,
Błyszczy gwiazda złota, księżyc blaskiem drga,
Tu chruściel skrzekota, a tu słowik gra.
(*Władysław Syrokomla*).

Było to w dzień 1. maja. Dzieci p. Józefa wraz z sąsiadami swoimi siedziały w małym lasku. Z przedmieścia, na którem mieszkały, było do lasku niedaleko. Ojciec wolnym był dzisiaj od roboty i wyszedł w świątecznem ubraniu na miasto, a one tu przybiegły.

Słońce świeciło przecudnie, jasno, wesoło; na drzewach woniały młode listeczki, wśród jasno zielonej trawy ukazywały się stokrótki, jaskry, pierwiosnki i fiołki, ptaszęta świergotały wesoło i swobodnie, a lekki wiaterek szemrał wśród drzew. Tyle w powietrzu było jasności, zapachu i śpiewu, że się dzieci nie posiadały z zachwytu.

— Cudownie — szepnęła Antosia, wzruszona pięknością budzącej się przyrody.

Antosia była już dużą i mądrą dziewczynką: chodziła do 4-tej klasy, a naczycielki chwaliły ją bardzo.

— Wiesz — odezwał się do niej Władek uczeń gimnazyum — zupełnie dobrze to odczuwam i rozumiem, że dawne narody wielbiły wiosnę, że wierzyły w boginie wiosny, jak n. p. starożytni Słowianie, lub że wiosnę jakimś bogom poświęcały. Jest przecież coś bardzo potężnego w tem, że cała przyroda budzi się do życia, kwitnie i odradza się.

Młodsze dzieci słyszały tę rozmowę. Miecio przysunął się zaciekawiony do Władzia i spytał.

— Co to znaczy Władku, że wszystkie narody wielbiły wiosnę?

— To znaczy, że widziały w odrodzeniu przyrody szczególną łaskę bogów i dziękowały bogom za nie. Na wiosnę odbywały się więc nabożeństwa dziękczynne.

— Moja babcia mówiła — rzekła Jagusia — że to odrodzenie całej przyrody na zdrowie ludzi także wpływa, że my tego nie czujemy, bo jesteśmy dziećmi, ale że starsi i chorzy ludzie lepiej się czują w takie piękne dni wiosenne, jak dzisiaj; ich siły odradzają się wraz z całą przyrodą.

— Trochę zaczynam rozumieć, dlaczego ojciec i wszyscy robotnicy ustanowili swoje święto na 1-szy maja — rzekł Wicuś.

— A ja właśnie myślałam o tem i nie mogę zrozumieć — odparła Antosia.

— Bo w taki dzień człowiek nieopisanie dobrze się czuje. Wobec piękna przyrody silniej niż zawsze odczuwa miłość dla bliźnich i pragnienie, by wszystkim ludziom było dobrze. Biedni ludzie, którzy ciężko pracują, jak nasi ojcowie, patrzą z miłością na piękne, dobroczynne, majowe słońce i wyobrażają sobie, że tak wejdzie dla nich kiedyś słońce lepszej doli, marzą o niem,



i na wspólnych majowych obchodach krzepią siły nadzieją.

Wicuś był dobrym, a bardzo ubogim chłopcem, jego tatuś ciężko pracował, a mimo to głód i chłód im nieraz dokuczył, więc rozumiał i odczuwał głęboko, co tłómaczył dzieciom w te chwili.

Władzio nic nie odrzekł, tylko wyciągną z kieszeni obrazek, który jego tatuś wyciął z gazety i ten obrazek pokazał dzieciom. Było na nim narysowane jak wschodzi właśnie takie „słońce lepszej doli dla biednych ludzi“, jak wszyscy biedni uszczęśliwieni bieżą ku niemu tęsknią do niego, wpatrują się weń z miłością pokazują je dzieciom swoim.

Dzieci przypatrzyły się uważnie obrazkow Władzia, każde przypomniało sobie, jak ciężko ich rodzice pracują, by je utrzymać i jak im nieraz bieda dokuczy. Obrazek wzruszył je tak bardzo, że przez długą chwilę siedziały w milczeniu, wsłuchane w cudowny szum lasu i w głośny śpiew ptasząt.

ELIZA ORZESZKOWA.

„Daj kwiatek“

(w streszczeniu).

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, spieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie.

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie starą kobietę, powoli, z trudnością przesuwającą się najskromniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jej odzież? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała ona w sposób podobny, śród tłumu, spychającego ją na miejsce ostatnie, najmniej wygodne.

Znam kobietę tę z bliska. Imię jej Chaita, zawód — łachmaniarka.

Łachmaniarką nie była ona zawsze; za młodu była smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na



A J

śniadej twarzy, z kruczym warkoczem, czarnem okiem. Urodziła się we wsi, w karczmie.

Była to malutka karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości. szerokie niwy bielały w zimie puszystem posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, wśród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za białawe mgły, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznemi drzewami i barwisty mnóstwem kwiatów. Należał on do dworu, którego własnością była też biedna, mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity.

Gdy Chaita dorosła, wyszła za mąż do miasta Ongrodu, za Lejbę, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej ostatniej chodził całe życie z białą twarzą i odzieżą, z białemi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z zieloną łąką, na której sypiała niegdyś godzinami całemi, ogrzewana słońcem majowem; rozstała się ze strumieniem, którego fale płynęły wciąż, płynęły i srebrnie dzwoniły; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi.

Co czynić, aby żyć; mężowi w ciężkiej pracy dopomódz. Dzieci wyżywić, wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary w kilkunastu pudełkach, któremi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety garbatej z przodu i z tyłu; potem roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jej kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą.

Skupuje ona starą odzież, niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domostw, stare łachmany, ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, sprzedaje towar i — żyje, choć lata osierociły ją i przygarbiły.

Chaita na starość nie była samą na świecie. Był przy niej wnuk po najmłodszej córce Chaimek. Chaimek miał włosy kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladej twarzy. Chaimek był ładnem dzieckiem. Od roku już przeszło nosił on w lecie i w zimie kamizelkę z białego perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszytym był daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosił czapeczkę, bo najczęściej zapominał jej w domu.

Chaita sama zawsze, własnoręcznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko. Wieczorem, wstaje od roboty, by położyć się już — ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jej stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jej kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzonym dla niego szatom, leży teraz u nóg jej, skurczony w swem bardzo podartem odzieniu, głęboko uspiony, i w silnie ściśniętej ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła.

Chaimek budzi się, otwiera senne powieki i coprędzej niesie do ust niedojedzony przedtem obwarzanek.

Chaimek miał przyjaciela Mendelka. Wybiegał z nim nieraz na brudną ulicę miasteczka, przy której mieszkał. Mendelek lubił żebrać u przechodniów i za wyżebrane centy kupował cukierków w straganie. Chaimek nie czynił tego, bo babka surowo zakazała mu żebranie.

(Dokończenie nastąpi.)

NIE CHORUJ!

Napisał

Dr. med. Leon Bross.

Kochany Jasiu!

Wiadomość o Twojej chorobie ogromnie mnie zmartwiła. Chcę, by synek mój był zawsze zdrów, wesół, rumiany. Szkoda czasu na leżenie! Wszakże to wiosna już — koniec roku blizko, lato za pasem! Chcę byś powrócił zdrów, rzeźki, byś z wszystkich sił swoich korzystać mógł z lata.

A tu chłopak mój niepotrzebnego figla płata, ziębi się!

Któż to widział? Czyż taki duży chłopak nie może już uważać na siebie.

Tylko w miarę synku, wszystko w miarę — albo wybiegasz w zimie na ulicę w rozpiętym płaszczyku, albo opakowujesz się jak jaka baba! To niemądrze! Nie owijaj szyi w tysiące chu-

stek — nawet wełniana bielizna wcale ci jest niepotrzebną. Najgorzej dzieje się tym, którzy lękają się najmniejszego wietrzyka i w lada chłodny dzień ubierają się jak na mróz siarczysty. Ziębią się raz poraz, gdy deszcz ulewny, albo nagły wiatr ich zaskoczy — bo nie przywykli do zimniejszego powietrza.

Gdy z ciepłego pokoju na dwór w mróz wychodzisz, nie wciągaj od razu zimnego powietrza pełną piersią. Płuca Twoje przyzwyczajone były do ciepła w pokoju — zbyt zimne powietrze może im zaszkodzić! Oddychaj przez nos, a nie przez usta, bo powietrze, które przez nos przechodzi, ogrzewa się i dochodzi do płuc nie tak zimne, jak gdybyś oddychał ustami. Przez usta krótsza do płuc droga — powietrze nie ma czasu ogrzać się!

Najlepiej wogóle zawsze nosem oddychać, bo nos, to jakby straż, która ostrzega człowieka przed nieprzyjacielem. Zbliżasz się do miejsca, z którego wydobywają się jakieś trujące, cuchnące gazy — w tej chwili nos Cię przestrzega! Słuchasz go, odchodzisz — i nie wdechujesz już tych gazów trujących.

Gdy kurz na ulicy, w szkole, lub w domu — wtedy też nosem oddychaj, bo część kurzu w nosie osiędzie, a oczyszczone już powietrze dojdzie do płuc. Gdy kurz jest wielki, a uniknąć go nie możesz, to najlepiej przez chustkę oddychać. Trzymasz chusteczkę przed nosem, część kurzu na chustce osiędzie — znacznie czyściejsze powietrze dostanie się do nosa, a do płuc to dojdzie prawie już czyste całkiem.

Czy kurz jest szkodliwy?

Co to jest kurz właściwie?

Wozy jadą i miażdżą bruk swym ciężarem. Ludzie chodzą, ścierają buty i chodniki. Jedzie wóz z węglami i pozostawia za sobą drobne kawałki węgla. Jedzie wóz z mąką i pozostawia trochę mąki. Nadchodzi inny wóz — i zamienia to wszystko na proch. Wszystko zużywa się przez tarcie, powoli, nieznacznie ale nieustannie. Ubierasz np. nowe trzewiki. Po tygodniu są już na podeszwie wytarte. Po 2 tygodniach bardziej, po 3 bardziej jeszcze. Dzieje się to tak powoli, że z dnia na dzień nie widzisz żadnej zmiany — aż po pewnym czasie, trzewiki będą całkiem wytarte! Oto czem jest kurz.

Ba! żeby tylko to było! Ale pomyśl: ludzie przechodzą i plują. Te plwowiny zasychają — potem ktoś przechodzi i rozciera to na proch. Nastaje wiatr — i unosi wszystko za sobą: pyłki kamieni, węgla, butów i plwocin. Idzie człowiek podczas wiatru i kurzu i musi oddychać tym kurzem. Kurz dostaje się do płuc i tam osiada. Gdy lekarz ogląda ludzi po śmierci, widzi często, że płuca są prawie całe ciemno szare, niemal czarne, zwłasza u ludzi, którzy mieszkają w mieście. To pył węglowy lub proch uliczny osiadł na nich. Czy takie płuca mogą być zdrowe? Pewno że nie, to też dużo mieszkańców miasta kaszle, bo płuca ich są zniszczone. Kaszlą i plują i zarażają tem innych ludzi. Czemu? — pomówimy o tem.

Wiesz co to są bakterye? Pewnie nie. Są to takie drobne żyjątka, których gołem okiem nie zobaczysz. Widzieć je można tylko przez szkła, które powiększają wszystko około 1.000 razy — jest to mikroskop.

Gdybyś się przypatrzył bakteryom przez taki mikroskop, to mógłbyś się przekonać, że one mają najrozmaitsze kształty. Jedne są podobne do laseczek, inne do kuleczek drobnych, inne znów do przecinków albo do paciorków i t. d. A co one robią? Jak one żyją? Żyją bardzo podobnie do ameb, które opisano Ci w numerze trzecim „Promyka“.

Ale jest jedna bardzo znaczna różnica. Bakterye są znacznie wytrwalsze od ameb, pomimo że są o tyle od nich mniejsze, że w amebie mogłoby się kilka, a nawet i kilkanaście bakteryi pomieścić. Widzisz kochany Jasiu, ameba n. p. bez wody zwykle żyć nie może i ginie.

Bakterye zaś, w takiem miejscu, gdzie nie ma wody, lub innego pokarmu przydatnego dla nich, nie giną, lecz zmieniają się w bakterye nawpół żywe, które mogą w tym stanie przetrwać bez pożywienia całe dni, tygodnie, miesiące, a niektóre gatunki nawet i lata całe.

Gdy dostaną się znów do miejsca, gdzie mają stosowny dla siebie pokarm, mogą natychmiast odżyć, rozwijać się i rozmnażać. A mnożą się one, z zadziwiającą szybkością. Jeżelibyśmy rano wpuścili do mleka taką bakteryę, która w mleku żyje, to za chwilę bakterya ta tak dojrzeje, że się podzieli na dwie, w następnej chwili znajdziemy z tych dwóch już 4 bakterye, potem 8 i t. d., a do wieczora z tej jednej bakteryi może już być w tem mleku setki tysięcy takich stworzeń.

(Dokończenie nastąpi.)

Od Redakcyi.

Do dzisiejszego numeru dołączamy baloniki japońskie dla tych prenumeratorów, którzy teatrzyków nie dostali. Jest to oryginalna zabawka japońskich dzieci; baloniki te podrzucone w górę wyglądają jak latające po powietrzu lampiony.

Zrobione są one wprawdzie z papieru — ale japoński papier jest niezwykle trwały. W redakcyi naszej mamy balonik taki od kilku tygodni, a choć bawią się niem malutkie dzieci (i chłopak jeden dwuletni wcale czule się z nim nie obchodzi) balonik nie popsuł się dotąd!

By módz bawić się balonikiem, trzeba lekko, bez wytężenia nadmuchać go. Balonik pęcznieje wtedy. Podrzuca się go delikatnie dłonią, lub grzbietem ręki, aby go nie zgnieść. Skoro się zgniecie — można go znowu nadmuchać.

Na żądanie niektórych Czytelników zmieniliśmy papier „Promyka“ począwszy od zeszłego nnmeru. Sądzimy, że jesteście wszyscy zadowoleni z tej zmiany.

Zosi J. w Chorkówce. List Zosi ogromnie nas ucieszył. Jak to ładnie, że Zosia korzysta z każdej sposobności, aby się czegoś nauczyć.

Heli S. w Krakowie. „Promyk“ cieszy się bardzo, że Hela go polubiła. Prosimy bardzo, by Hela częście do nas pisywała.

Zosi O. w Kleparowie. Za list Zosi dziękujemy serdecznie. Muszka podobała nam się bardzo.

A. B. w Przemyślu, Leosiowi M. w Stanisławowie, Olesiowi P. w Tarnopolu, Herminee S. we Lwowie, J. W. w Stanisławowie. Dziękujemy za nadesłanie zagadek. Zagadki Czytelników będziemy drukowali, o ile będą dobre.

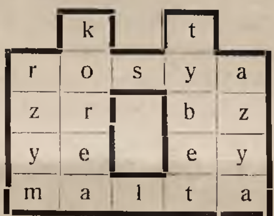
Julianowi R. we Lwowie: Numery „Promyka“ z ubiegłego kwartału można nabyć u nas za opłatą 50 halerzy.

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam adresy znajomych, dziękujemy serdecznie.

Redakcya „Promyka“ ogłasza konkurs na zagadkę. Kto nadeszle do 1. czerwca najlepszą i najładniejszą zagadkę otrzyma nagrodę.

Rozwiązanie zagadek z nr. 5.

Zagadka geograficzna:



Łamigłówka: Dyament.

Rozwiązanie zagadek nadesłali:

Leontyna B. z Kołomyi, Stanisława Ch. z Borysławia, Marya E. z Rzeszowa, Salo G. z Tarnopola, Zosia I. z Chorki, Hela K. z Tarnopola, Jadwisia J. ze Lwowa, Adaś M. z Przemyśla, Donia M. z Tarnopola, Leon M. ze Stanisławowa, Jadzia N. z Wadowic, Oleś P. z Tarnopola, Fabian R. z Jasła, Izydor K. ze Lwowa, Hermina S. ze Lwowa, Alfred H. z Kołomyi, Hela S. z Krakowa, Benio S. z Tarnopola, Paulina Z. ze Lwowa, Irma H. z Rzeszowa, Maties G. z Przemyśla, A. B. z Przemyśla, Wandzia M-S. z Wiednia, Regina O. z Przemyśla, Julian R. ze ze Lwowa.

Łamigłówka.

Łamigłówka nadesłana przez A. B. z Przemyśla:

Wron – sy—i—ron—ne—al – hol—ry—ko—a—lord—ga—ro.

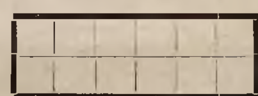
Ułożyć następujące wyrazy tak, aby początkowe litery czytane z góry na dół dały nazwę kraju w Europie, a końcowe jego stolicę.

1. Trunek
2. Cesarz rzymski
3. Ptak
4. Tytuł angielski
5. Kwiaty
6. Imię biblijne.

Figielek zagadkowy.

Figielek zagadkowy nadesłany przez Leona M. ze Stanisławowa.

„Kochany Promyk“ zaznajomił mię (w nr. 3.) ze Stasiem i Anielcią. Idąc więc za przykładem tych grzecznych dzieci, próbowałem i ja ułożyć coś nowego ze zapałek. Nie miałem ich więcej jak 32 i otóż ułożyłem z nich komórek 12 w dwóch rzędach. Gdy nadeszła Dozia, miła towarzyszka



naszych zabaw, chciała także uczestniczyć w mojem zajęciu i poprosiła mnie o połowę mego materyału budowlanego.

Rad nie rad podzieliłem się z nią, wyjmując 17 zapałek z mego arcydzieła. Ażeby jej nie skrzywdzić, dałem jej zatem o jedną więcej jeszcze, aniżeli połowę. Ile myślicie zostało mi teraz? O dziwo! Nie mniej, nie więcej jak sto! 22—17 = sto! Istna zagadka! Kto ją pojmuje, niech mi ją wytłumaczy.

Za rozwiązanie zagadek umieszczonych w tym numerze przeznaczamy mały globusik.

Kącik dla małych dzieci.

Piesek Helusi.

Helusia miała małego pieska.

Nie prawdziwego, żywego, tylko taką zabawkę. Był biały jak mleko i ogonek miał biały. Miał na ciałku długą rureczkę zakończoną balonikim. Z początku Helusia nie umiała się nim bawić. Mamusia brała wtedy balonik w rękę — i piesek skakał po podłodze.

Dziewczynka bardzo się nim cieszyła i myślała, że piesek skacze dla tego, bo ona go prosiła: „Skacz! skacz! piesku!“

Gdzież tam! Przecież to zabawka — nie słyszy i nie rozumie!

Mamusia dała jej balonik do rączki i pokazała, że piesek skacze wtedy, gdy się balonik pociśnie.

Bo w baloniku jest powietrze — gdy się pociśnie, to powietrze posuwa się do rurki, a z rurki do mieszka, który jest we środku ciałka pieska.

Mieszek nadyma się — i porusza nóżki pieska. Tak to piesek skacze.

Helusia była raz bardzo grzeczna. Tego dnia mamusia poszła do miasta i przyniosła jej małe zawiniątko. Helusia otworzyła je i zobaczyła zająca, który tak samo skakał jak piesek.

Helusia zaraz wiedziała co robić, by zajączek skakał. Umiała wytłumaczyć nawet małemu braciszkowi Romusiowi, dlaczego zajączek-zabawka porusza się i skacze. *B.*

W Ogrodzie.

Mamusia poszła ze swojemi dziećmi na przechadzkę do ogrodu. Zaprosiła jeszcze wiele innych znajomych dzieci, tak że szły wielką gromadką.

Dzieci cieszyły się bardzo, biegały, lekki wiaterek powiewał i szumiał w dużych świerkach, które zawsze, nawet przez całą zimę są zielone. Świerk to takie drzewo które ma malutkie, wązkie, twarde listeczki jak szpilki, dlatego nazywa się drzewem szpilkowem. Szpilki nie odpadają z drzewa na zimę.

Pierwsze motylki latały w powietrzu, tu bronzowe, tam żółte. Dzieci próbowały złapać motylka, ale nie mogły. Na drzewach były zieleniuchne pęcze, z tych pęczy rozwiną się za parę dni liście. Adaś znalazł sobie patyczek i na żółciutkim piasku na ścieżce narysował wszystkie przedmioty, które w zimie z zapałek sobie układał. Dzieci stanęły obok niego i ciekawie przypatrywały się rysunkom.

Rysia rozejrzała się za innym patyczkiem dla siebie i spróbowała narysować drzewko, ale nie umiała. Poprosiła więc mamusi. Mamusia narysowała grubą, ukośną trochę linijkę.

— To będzie pień drzewa — powiedziała mamusia.

Wicuś był jeszcze bardzo maleńki i nie rozumiał co to znaczy pień.

— Cio to? — spytał zdziwiony.

— To jest łodyżka drzewa.

Łodyżka u małych, wątłych roślinek nazywa się łodygą — a u drzew wielkich pniem.

— A dlaczego ten pień jest pochyły — spytał Adaś?

— Czy żadne z was nie widziało drzewa z pochyłym pniem? — spytała mamusia.

Dzieci pomyślały chwilę, ale nie mogły sobie przypomnieć.

— Więć rysujmy dalej, a może poznacie drzewko gotowe.

To mówiąc dorysowała mamusia do pnia u góry pięć kreseczek, niby pięć gałązek, a potem jeszcze więcej gałązek dodała i zrobiło się drzewko bez listków, takie jak widzimy na wczesną wiosnę, gdy jeszcze listki nie urosły. U góry były gałązki najdłuższe, a z boków coraz krótsze.

— Takie drzewko nazywa się wierzba — rzekła mamusia. — Czy widziało które z was wierzbę? — spytała mamusia.

— Ja widziałem — odpowiedział Adaś. — Na wsi niedaleko mieszkania mojej babci rosną wierzby nad stawem, mają wąskie a długie listki w lecie, pochyłe pnie, czasem tak pochyłe, że liście dolnych gałązek maczają się we wodzie.

— Może przypomnisz sobie i powiesz nam jeszcze coś o wierzbie — spytała znowu mamusia.

Adaś pomyślał i klasnął w rączki.

— Wiem, że Iwaś robił z wierzby fujarki! — zawołał uradowany — potem gdy bydło paść szedł, siadał sobie na łące i ślicznie na tej fujarce wygrywał.

— Czy widziałeś tę fujarkę? — spytała mamusia.

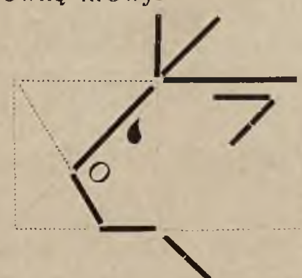
— Widziałem. Była to mała, drewniana rureczka, z jednego końca trochę zatkana i było na niej kilka dziureczek.

— I to grało?... — dziwiła się Anusia.

— Iwaś dmuchał w nią, to znaczy że wdmuchiwał w nią powietrze, a to powietrze uciekało małemi dziórkami fujarki — trudno mu było wejść w te dziórki, zawadzało o ściany ich i — grało.

— Proszę nam jeszcze coś narysować na piasku — prosiły dzieci.

Mamusia wzięła parasolkę swoją i narysowała nią główkę krowy.



— Krowa! krowa! — wołały dzieci i próbowały rysunek odrysować. Najstarszym najlepiej się to udało.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego 1. 8.